

Relacje.

Nazywam się Jacek Borkowski, urodzony 13.V.1922 r. w Sumżkach. Do 1946 r. mieszkałem na Kresach: w Miedwierzcu, Stożpcach, Baranowiczach. Od 1931 r. przebywałem w Grodnie. Ojciec mój, Józef, był nauczycielem gimnazjalnym. Pracował w prywatnym gimnazjum im. H. Sienkiewicza jako polonista. Ponadto ojciec wykładał jeszcze w gimnazjum krakowskim i na "kursach wieczorowych dla dorosłych" /tak to się nazywało/.

Miałem siostrę i dwóch braci. Mieczysław był studentem IV r. medycyny na USB w Wilnie. Jan, starszy ode mnie o 2 lata, w 1937 r. zrobił maturę i uczęszczał do liceum. Siostra nie mieszkała w Grodnie, po ukończeniu studiów osiedliła w Warszawie. Ja w 1939 r. też zrobiłem maturę i chciałem kontynuować naukę.

Mama, Bronisława, została w 1944 r. wywieziona do Ravensbrück, tydzień czy dziesięć dni przed ponownym wejściem Rosjów. Zginęła w tym obozie. Zajmowała się przede wszystkim wychowywaniem dzieci.

x x x x x x x

I.IX.1939 r. gruchnęła wieść, że Niemcy rozpoczęli wojnę. W Grodnie zaczęło się kopanie okopów, przygotowywanie do jakiejś obrony. Już w pierwszym dniu wojny był dwu- czy trzykrotny nalot samolotów niemieckich, które wrzuciły bomby zapalające. Niektórych szkół nie wyrządziły. Na razie na tym się skończyło, przez jakiś czas był spokój. Nie miałyśmy wiadomości o tym, że Rosjaci przekroczyli granicę. Pierwszym sygnałem była ruchawka żydowska. Padły strzały przy ul. Orzeszkowej. Kłoda i policja trochę tym Żydom przetrzepali skórę. Żydzi musieli mieć jakieś wiadomości o wejściu Rosjan. Przyczyną tej ruchawki być może był duży pogrom do którego doszło w Grodnie w 1938 r. Istniała w mieście szkoła tańca Hajzera. Tam żyd, rzemieślnik, zastylował polskiego młynarza. Na jego pogrzeb przyjechali koleśki z wojska i po ceremonii padło hasło "Bij Żyda!". Całe Grodno zostało zdemolowane, wszystkie żydowskie sklepy. Ofiar śmiertelnych nie było, przynajmniej ja o nich nie wiem. 18 czy 19.IX. znalazłem się na pl. Batorego. Tam pojawiły się

czołgi. Ludzie zaczęli się chować do bram, bo pojazdy nie posiadały żadnych znaków. Czołgi te były poukładane kwadratami. Szybko okazało się, że są to maszyny sowieckie. Do samego centrum Grodna wtergnęły się dwa. Na ul. Hoovers stała polska armata przeciwlotnicza, która oddała w ich stronę kilka strzałów. Czołg wycofał się z ul. Hoovers, wpadł w ul. Dominikańską, przebił tam ścianę w kinie "Apollo", cofnął się do tyłu i pojechał w kierunku ul. Orzeszkowej. Ja byłem wówczas po drugiej stronie ul. Dominikańskiej. Na rogu Pocztowej i Orzeszkowej stał jakiś cywil, w wieku ok. 30 lat, który rzucił granat lub butelkę zapalającą /raczej to drugie/. Czołg zapalił się, dwa razy otwierał się włączając się wtedy z okolicznych bram padały strzały, i w efekcie Sowietci usnęli się w nim żywcem. Wrak czołgu stał tam kilka dni z popaloną załogą. To byli pierwsi martwi jakich widziałem. Drugi - przy ul. Hoovers - to młody żołnierz sowiecki. Musiał dostać postrzał w oko. Jedną gałką oczną znalazłem się całkowicie na zewnątrz oczodołu, podobnie jak u raka, i zdawało mi się, że ten trup patrzy cały czas na mnie. Stałem jak zhipnotyzowany i nie mogłem się w ogóle ruszyć. Był tam też jeszcze jeden Sowiec. Złapano go i zapytano: -"Ty z Krasnej Armii?" -"Da!" -"No to zabroń i rozstrzelaj!". Zabrano go gdzieś ale nie wiem co się z nim stało. Kilka samochodów pancernych radzieckich zostało rozbitych na przedmieściu, na tzw. "Zaniennem".

To wejściu Sowietci aresztowali moją koleżkę, uczestniczkę obrony miasta, którego nazwisko już dzisiaj nie przypominam sobie. Wzięli go na samochód ciężarowy i zabili, został po prostu przecięty serią z karabinu maszynowego. Żołdaki porzucili na ulicy. Na jego pogrzeb przyjechało sporo młodzieży. Mój ojciec miał nową, porównywał tą walkę do boju Orląt Lwowskich.

Różnej stosunki unormowały się. Wrócił spokój. Ale godziny politycznej Rosjanie są do przyścia Niemców w 1941 r. nie znieśli. Godzina policyjna była od 20-21.

Wydano rozkaz otwarcia sklepów, zresztą żydzi sami je otworzyli,

i nie ukrywania towarów. W obiegu był złoty polski, arównany z rublem. Sowieci w ten sposób mieli masę pieniędzy. Przy Dominikańskiej był sklep z zegarkami. Najtańsze kosztowały 5 zł. Wchodzi tam sowiecki żołnierz i pyta czy można kupić zegarek. Można. A dwa? Mierz dwa. A całą "karzinku" można panie? Mierz. Oni nie mogli pogodzić się z tym, że jest taki dobrobyt.

Szybko zorientowali się, że jest tu inaczej niż to przedstawiała ich propaganda, bo oficerowie po jakichś dwóch czy trzech tygodniach zaczęli sprowadzać z głębi Rosji swoje rodziny. Nie było dla nich mieszkań więc przydzielali ich tam, gdzie był jakiś wolny pokój. U mojego kolegi, Jurka Kryciańskiego, na ul. Mickiewicza mieszkał starszy lejtnant. Przyjechała do niego żona. Pani Kryciańska pyta się kiedyś czemu ona się nie rozbiera, ciągle siedzi w płaszczu. Oficer odpowiada: "-Niezno". Ale potem wyszedł z nią do kuchni, przeprosza ją i mówi, że żonie było wstyd bo nie ma sukienki. Oni przyjechali goli.

Przed wojną istniała w Grodnie "jacejka" komunistyczna. Jednym z jej członków był Żyd, syn piekarza Kapłana, uczeń gimnazjum. To był zdolny chłopak, o rok czy też dwa ode mnie starszy. Wyzedł we wrześniu 39 r. z więzienia, był skazany jeszcze przed wojną za działalność komunistyczną na 5 lat. Na drugi dzień po wypuszczeniu przyszedł do mojego ojca że gimnazjum i powiedział: "- Panie profesorze ze względu na to, że nigdy nie doznałem od pana żadnych przykrości, że pan był liberalny, to panu włos z głowy nie spadnie. Ale proszę powiedzieć, gdzie jest Biniek?" /nauczyciel języka niemieckiego/. Ojciec mówi, że nie wie. Na to Kapłan stwierdza, że on gdzieś mieszka w naszej okolicy. Ja, słysząc te słowa, szybko wsiadłem na rower i pojechałem do profesora. Mówię mu: "- Jest u nas Kapłan i dopytuje się o pana". To urstowało jego i całą rodzinę. Wyjechali. Npstarczyło wyjechać do innego miasta i ślad przepadł, Sowieci nie znaleźli.

Aresztowania. Na pierwszy ogień

Aresztowania. Na pierwszy ogień poszła policja, żandarmeria /ich rodziny, zawodowi wojskowi no i osadnicy. Koło Grodna była masa osadników, weteranów wojny 20 roku. Przychodzili ze sztychem i dawali pół godziny czasu na spakowanie się. Lucjan Wasowicz był przypadkowo na wsi u rodziny przeznaczonej do wysiedlenia. Zebrali wszystkich, było 40 stopni mrozu, pędzili ich przez mokradła i on wpadł gdzieś do wody. Obcięli mu cztery palce u jednej nogi. Został wyniesiony, podobno wrócił z Rosji i mieszka w Milanówku koło Warszawy.

W społeczeństwie polskim wytworzyło się poczucie wzajemnej pomocy. Od razu wyczuwano się komu można zaufać a kogo trzeba się wystrzeżać. Białorusini zaczęli podnosić głowy, zajmowali stanowiska w urzędach. Powiadamy Kostek Kerdasz, harcerz z którym razem byłem na zbiórkach, na obozach. Potem, po zajęciu Grodzieńszczyzny okazało się, że to komunista. Dzisiaj w rodzinie jest dyrektorem PUK-u, dygnitarzem - wcześniej był w sowieckiej partyzantce. Ojciec jego był bogatym chłopem, miał niewielką cegielnię, sklepik w Swisłoczy. W Swisłoczy nb wymordowano całą inteligencję, m.in. brata Karola Polkowskiego, nie pamiętam jak miał na imię, który był tam nauczycielem. W Brzostowicy Wielkiej i Małej wymordowano właścicieli ziemskich. To robili miejscowi Białorusini pod wpływem agitacji bolszewickiej.

Tego kogo nie zastali nie szukali więcej. Nie było żadnych listów goniczych, poszukiwań i tym podobnych spraw. Tak csałaż m.in. jeden z braci Krajewskich - Lutek - który był akurat chory. Sowich mieli listy, na których było tylko nazwisko - nie było nawet imion poszczególnych członków rodziny. Pytali tylko np.: "-Borkowski eto wasza familia?" "-da" i wtedy zgarniali człowieka nie interesując się czy to syn czy ojciec. Ważne było tylko nazwisko.

Większość ludzi była spakowana i siedziała na tobołkach. Słyszało się coraz to, że wyniesiono tego czy tamtego, szewca lub krawca, jako "wroga ludu". Najwięcej wywóz był na początku 40 r. Znamienne było dla Sowietów to, co się stało z lokalnymi komunistami. Po wejściu Ros-

Jan miejscowi komuniści, przesłanie Białorusi, zostali dygnitarzami. Dzisiaj po miesiącu przesłali ich wszystkich i wywieźli. W 1941 r. spotkałem jednego z nich uwolnionego przez Niemców. Opowiadał, że powiedziano mu wprost: "W życie swoją robotę zrobili, ale chwailiście Związek Radziecki za pieniądze. Nie wierzyacie w komunizm i dlatego pojedziecie na "bicykłe miedwiedzi". Miano go wywieźć ale oswobodzili go Niemcy. Był na wolności, klął na Sowieców nie przebierając w słowach i wydawało mi się, że w końcu zrozumiał. Ale po ponownym przyjeździe Sowieców znów wpaść do nich miłością i dochrapał się nawet jakiegoś urzędowego stanowiska. Nie wiem co się z nim dalej stało a nazwisko też nie pamiętam.

Za rosyjskich czasów konspiracja nie istniała. Może były jakieś szajki. Było natomiast niezbyt wielkie antyrosyjskie nastawienie. W dziesięciolecie, do której chodziłem, nr 2 /Sowieci utworzyli w Irodnie szkołę rosyjską, białoruską i dwie czy trzy w polskim językiem nauczania/ w piątek odbywały się zawsze wieczorki. Młodzież kryła wtedy portrety Lenina i Stalina. Jednak jakiegoś zorganizowanego działania nie było. Społeczeństwo nie oświecało się jeszcze po klęsce.

Zima z 39 na 40 r. była straszna. Wielkie śniegi i mrozy. Sowieci zatrzymywali na rogatkach wozy czy sanie wiozące opał i kierowali je do jednostek wojskowych. Ludność marzała. Palono się co można. Wycofano też wtedy polskie pieniądze i zaczął się głód.

Wejście Niemców to było wielkie święto. W dodatku w pierwszych oddziałach wkraczających do Irodnie było mnóstwo Mazurów i Ślązaków, którzy rozmawiali po polsku. Myśmy z nimi wódkę pili. Weszli 23.VI. o godzinie 10 rano. Rosjanie nie stawiali żadnego oporu, zwiewali gdzie pieprz rośnie. Niemcy po wejściu otworzyli więzienie. Sam oglądałem cele strażni, gdzie całe ściany były zbryzgane krwią.

Ostatniego dnia pobytu Rosjan w Irodnie wracałem z randki i na pl. Rybnikowską czy na pl. Karłowicza spotkałem swego brata, Mietka. Był pijany w sztok.

Był pijany u sztok. Ze cassyńców sowieckich pracował jako lekarz w szpitalu a ponadto udzielał korepetycji z jęz. niemieckiego. Dzieni przedtem był masowy wyśch. Na kursie niemieckiego prowadzonym przez brata znaleźdowało się trzech sowieców. Jeden z nich pyta się: -"Czevo wy, Niczyrkał Josifowicz, skuczny sjerodnie?". Brat mu odpowiedział a na to ten oficer: -"Rust' naszech etich sabak wyjezdu? Listek nie zstanskiując się wyrzucił go w mordę. Oficer otworzył kaburę, wyrwał pistolet i zaczął strzyczeć: -"Ubję, job twoju mat!" i koncu ze wstrętem powiadził: -"Dla takiego pan szkoda nawet kuli". Brat wyszedł i udeł się w kierunku domu. Spotkałem go po drodze. Złapał mnie ze szyję i mówi: -"Tędzik, te skurwyżyny nas wykonczą!". Ja na to: -"Chodź do domu!" i ciągnę go ze sobą. Po drodze natknęliśmy się na jakiegoś sowieckiego oficera z żoną. Brat widząc go złapał mnie i mówi: "Tędek, powiedz mi czy to oficer? To chuj a nie oficer!". Ja szybko zaróciłem się do tego Sowietu mówiąc: "-To mój brat, nieszczęśliwy człowiek. On jest kompletnie pijany, proszę mu wybaczyć." Ten miał widać jeszcze jakieś ludzkie cechy i pozwolił nam odejść. Pojechaliśmy do domu. Przychodziliśmy na miejsce a brat dostał po prostu białej gorączki. Wymyślał, przeklinał. Przytrzymaliśmy go siłą i wreszcie zasnął. Przykryłem go, zamknąłem drzwi. Raptem przychodzi znajomy z naprzeciwka. -"Tędek, czy jest doktor w domu?" -"Jest ale śpi pijany." -"Rodzice mieli przez rewizję. Chodzą już tutaj, pytali o niego, tylko pomylili się. Słyszałem to". Ledwie skończył mówić a oni wchodzą. Wleźli do domu, do środka i pytają się: -"Kotno k wam sejt?" Matka nie umiała po rosyjsku i odpowiada: -"Proszę, proszę, niech pan zechodzi". -"U nas panow niet wazno ich dawch i pytają się: -"Gdzie wasz syn?" Ja zdążyłem już rozebrać się i położyć do łóżka. Wstaje i mówi: -"Zdieł!" -"Niet! Ito nie wy. Tutaj u was jest pijany człowiek, który neubliżał i uderzył w twarz oficera." -"Kikogo takiego tu nie ma. Jesteśmy sami" - odpowiadam. -"Radion dieł,t' bick." Wykoczyłem w piżamie z łóżka

otwieram drzwi do drugiego pokoju i mówię: -"Potakate. Jeżeli tu będzie jakiś pijany to możecie mi obooby dać kulę w żeb, ale jeżeli nie to idę jutro rano do waszej komendantury i dowiem się czy macie prawo nachodzić porządny "graždanski" dom". Popatrzył na mnie i powiedział: -"No żadno, szłedoj caczewiek". Wyzedł. O czwartej rano zaczęło się bombardowanie. Brat mnie obudził i gdy stwierdził, że się zaczęła wojna niemiecko-rosyjska to byłem przekonany, że jeszcze nie wytrzeźwieł. Ale to była prawda i nawet na to konto po raz pierwszy w życiu piłem z bratem wódkę - nalewkę piechunówką.

Niemcy pozwolili ludności rozbić sowieckie magazyny. Wtedy dopiero zobaczyliśmy że i oni mieli coś dobrego do jedzenia - wapniałe suchary i skeninę.

Niemieckiej okupacji w Grodnie nie przeżyłem, bo już I.XI.41 r. musiałem uciekać na wieś. Wpadłem w Augustowie z kolegą na handlu żywnością /doniósł nasz kolega, narodowy działacz białoruski, Jaszczenko/. Aresztowali nas i szędzili do aresztu. Uciekliśmy przez dziurę w murze więziennym. Nie było tam żadnej straży tylko jakiś starsza już wiekiem baba. Zostali jednak nasze dokumenty. Wyniosłem się do Kozłowicz i tam już mieszkałem do końca wojny. Ożeniłem się i pracowałem na roli. Byłem łącznikiem między Żydami a Grodnem w AK. Dostawałem plik gazetek czy coś innego i dostarczałem na punkt do Żdomli. Robiłem to jednak sporadycznie.

~~W~~ W 1943 r. w lasach Niemeńskich było dość duże zgrupowanie partyzantki. Raz większa grupa - 24 osoby - przechodziła koło naszego domu w Kozłowiczach i ukryła się do miejscowości Jaziora. Położyli się tam spać w stodole nie wstawiając warty. Białorusini dali o nich znać Niemcom. Po otoczeniu stodoły wszystkich partyzantów zamordowano - zastrzelono/byli to sami młodzi ludzie/.

Miałem trochę trudności z wyjazdem, bo byłem deserterem. W 1944 r. powołano mnie do armii sowieckiej. Nie zgłosiłem się.

Ukrywałem się i żyłem na cudzych dokumentach. Mojego szwagra. Ponieważ nikt nie wiedział, że w 1946 r. to stworzyli moje papiery i wyjechałem w czereku 1946 r. ostatnim transportem z Grodna.

Po powtórnym wkroczeniu Rosjan zostałem aresztowany mój brat, osądzony i skazany na 15 lat. Przyjechałem dopiero po naszych staraniach w 1956 r. w Zhetysay. W Zagrach i na zesłaniu /w Karagandzi/ pracowałem jako lekarz. Przywiózłem ze sobą masę pochwalnych artykułów, jakie ukazały się w tamtejszych gazetach. Miałem w Polsce kłopoty z odtworzeniem dyplomu, musiałem jako starszy już człowiek powtarzać ostatni rok medycyny ale jakoś to przebrnąłem. Zmarłem w 1975 r. w Warszawie.

Brońsk, styczeń 1989 r.